

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

NORA ROBERTS

SCHWYTANA
GWIAZDA

GWIAZDY
MITRY

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Nora Roberts

Schwytana gwiazda

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gotów był niemal zabić za jedno piwo. Za wielki oszroniony kufel napęczniony ciemnym importowanym piwem. W tej chwili smakowałoby mu dużo bardziej niż pocałunek pociągającej kobiety. Piwo w jakimś mrocznym, chłodnym pubie, w towarzystwie paru innych siedzących na stołkach bywalców, śledzących przebieg meczu baseballowego na ekranie telewizora.

Nie spuszczał z oka mieszkania, które obserwował, Jack Dakota dla zabicia czasu puszczał wodze fantazji.

Piana na kuflu, zapach drożdży, pierwszy łakomy haust dla ochłody i ugaszenia pragnienia. A potem powolne smakowanie, łyk za łykiem, aż w końcu doszedłby do przekonania, że na świecie wszystko byłoby w porządku, gdyby politycy i prawnicy debatowali nad rozwiązaniami nieuniknionych konfliktów przy kuflu zimnego piwa w miejscowym pubie, a tymczasem pałkarz szykowałby się do decydującego odbicia.

Było tuż po pierwszej po południu, ciut za wcześnie na drinka, ale upał tak dawał się we znaki, że cała lodówka pełna puszek z zimnymi napojami nie sprawiłaby takiej frajdy jak jedno zimne piwo z pianką.

Jego stareńki oldsmobile nie miał takich luksusów jak klimatyzacja. Prawdę mówiąc, jedynym luksusem była kosztowna, rozdzierająca uszy wieża, zainstalowana w obłazącej desce rozdzielczej pokrytej imitacją skóry. Zestaw stereo był wart dwa razy tyle co samochód, ale Jack nie potrafił żyć bez muzyki. Podczas jazdy lubił nastawiać sprzęt na pełną moc i śpiewać na całe gardło z Beatlesami czy Stonesami.

Solidny, ośmiocylindrowy silnik pod powyginaną brudnoszarą maską, wyregulowany jak szwajcarski zegarek, zawoził Jacka wszędzie, gdzie ten chciał, i to szybko. Teraz silnik odpoczywał, a Jack, dostosowując się do atmosfery spokojnej dzielnicy w północno-zachodniej części Waszyngtonu, nastawił cicho odtwarzacz CD i mruczał do wtóru Bonnie Raitt.

Była jedną z nielicznych uznawanych przez niego współczesnych wykonawczyń muzyki rozrywkowej.

Jack często myślał, że urodził się w niewłaściwej epoce. Może nawet byłby z niego niezły rycerz Okrągłego Stołu. Oczywiście na czarnym koniu. Odpowiadała mu prosta filozofia prawa pięści. Wspierałby króla Artura, dumał, bębniąc palcami o kierownicę, jednak w Camelot rządziłby na swój własny sposób. Trzymanie się ustalonych reguł powoduje niepotrzebne komplikacje.

Mógłby też żyć na Dzikim Zachodzie i na przykład polować na bandytów. Żadnej nonsensownej papierkowej roboty. Po prostu chwyciłby ich i dostarczał, dokąd trzeba.

Żywych lub umarłych.

W dzisiejszych czasach bandyci wynajmowali adwokata albo zapewniało im go państwo, a rozprawy sądowe sprowadzały się do przeproszania ich za kłopoty.

„Bardzo nam przykro, sir. To, że pan gwałcił, rabował i mordował, nie usprawiedliwia zabierania

pańskiego cennego czasu i naruszania pańskich praw”.

Tak przedstawiała się smutna rzeczywistość.

Był to jeden z powodów, dla których Jack Dakota nie został policjantem, choć jako nieopierzony dwudziestolatek przez jakiś czas się nad tym zastanawiał. Sprawiedliwość nigdy nie była dla niego pustym słowem. Ale sprawiedliwość to jedno, a regulaminy i przepisy to drugie.

Właśnie dlatego w wieku trzydziestu lat Jack Dakota trudnił się chwytnością zbiegłych przestępców.

Tropił złych facetów, ale sam określał swój czas pracy, płacono mu za wykonanie zadania i nie musiał zajmować się upiorną papierkową robotą.

Tu też obowiązywały jakieś przepisy, ale bystry facet wie, jak je obchodzić. A Jack zawsze był bystry.

W kieszeni miał dokumenty dotyczące tropionego właśnie obiektu. Tego ranka o ósmej zadzwonił do niego Ralph Finkleman z nowym zadaniem. Dziwny facet z tego Ralpa, zamyślił się Jack. Wiecznie się czymś martwi, a z drugiej strony jest optymistą. Ciekawa kombinacja, ale pewnie typowa dla poręczyciela. On osobiście nie był w stanie zrozumieć idei pożyczania pieniędzy nieznanemu – skoro potrzebowali poręczenia, tym samym ujawniali swoją niewiarygodność.

Ale w grę wchodziły nieźle pieniądze, a pieniądze to wystarczająca motywacja większości działań.

Jack dopiero co wrócił ze zbiegiem, którego tropił aż do Karoliny Północnej. Kiedy przyholował głupiego jak but wiejskiego chłopaka, który próbował wzbogacić się, okradając całodobowe sklepy na stacjach benzynowych, Ralph Finkleman wprost nie wiedział, jak mu dziękować. Wyłożył za niego kaucję, uznawszy, że chłopakowi do głowy nie przyjdzie, żeby uciekać.

Jack mógłby mu powiedzieć, prosto z mostu, że dzieciak jest na tyle nierozgarnięty, że nie rozumie, czym grozi ucieczka.

Ale nie płacono mu za udzielanie rad.

Zamierzał przez kilka dni odpoczywać, może obejrzeć parę meczów na Camden Yards, zadzwonić do którejś ze swych przyjaciółek, by pomogła mu przepuścić zarobione pieniądze. Właściwie chciał odesłać Ralpa z kwitkiem, ale chłopisko tak skamlało, tak się usprawiedliwiała, że nie miał serca odmówić.

No więc wpadł do jego firmy i wziął papiery na niejaką O'Leary, która najwyraźniej postanowiła nie stawiać się w sądzie z wyjaśnieniami, dlaczego postrzeliła swego żonatego kochanka.

Doszedł do wniosku, że ona również jest głupia jak but. Niebrzydka kobieta – a sądząc z fotografii i opisu, można było tak o niej powiedzieć – z paroma szarymi komórkami na swoim miejscu, mogła z łatwością przekonać sędziego i ławę przysięgłych, że taki drobiazg jak postrzelenie niewiernego księgowego nie powinien podlegać zbyt surowej karze.

Robota wydawała się jak kaszka z mlekiem, ale Ralph był okropnie nerwowy. Jąkał się bardziej niż zwykle, a oczy latały mu jak błędne.

Jack nie miał jednak ochoty analizować zachowania Ralpa. Chciał szybko zakończyć pracę, napić się piwa i zacząć się cieszyć zarobioną forszą.

Pieniądze z tej ekstra roboty oznaczały, że może pozwolić sobie na pierwsze wydanie „Don Kichota”.

Zależało mu na nim od dawna. Dla czegoś takiego można znieść spływanie potem w samochodzie przez parę godzin.

Nie wyglądał na mężczyznę, który poluje na białe kruki czy rozsmakowuje się w filozoficznych rozprawach o naturze ludzkiej. Brązowe włosy z jaśniejszymi od słońca pasemkami nosił związane w krótki kucyk – co wynikało raczej z jego nieufności do fryzjerów niż chęci hołdowania modzie. Gładka fryzura uwydatniała jego pociągłą, wąską twarz o ostro zarysowanych szczękach i zapadniętych policzkach. Nad płytkim rowkiem w brodzie rysowały się pełne, stanowcze wargi sprawiające wrażenie rozmarzonych, gdy nie wykrzywiał ich szydery uśmiech.

Jego stalowoszare oczy przybierały odcień dymu na widok pożółkłych stron pierwszego wydania Dantego bądź ciemniały z zachwytu na widok ładnej kobiety w cienkiej letniej sukience. Lekko demoniczne wygięcie brwi uwydatniała biała blizna idąca po skosie lewej, skutek zetknięcia ze scyzorykiem zabójcy, który nie zamierzał pozwolić, by Jack odebrał swoje pieniądze.

Jack odebrał pieniądze, a zbieg zarobił złamaną rękę i pokiereszowany nos, który już nigdy nie będzie taki jak przedtem, chyba że państwo zafunduje mu operację plastyczną.

Co wcale by Jacka nie zaskoczyło.

Były też inne blizny. Jego smukłe, mocne ciało nosiło ślady licznych walk. Kobiety to uwielbiały.

Jack nie miał nic przeciwko temu.

Wyciągnął przed siebie długie nogi, rozluźnił ramiona i medytował, czy nie otworzyć kolejnej puszkii napoju i czy znowu nie udawać, że to piwo.

Kiedy obok przeleciał ze świstem MG z opuszczonym dachem i włączonym na cały regulator radiem, pokręcił głową. Głupia jak but, powtórzył w myśli, choć w pełni aprobował jej muzyczny gust. Pęd samochodu poruszył papierami, a szybkie zerknięcie na kobietę siedzącą za kierownicą potwierdziło jego przypuszczenia. Krótkie rude włosy rozwiewające się na wietrze zdradzały ją bez pudła.

Zaparkowała tuż przed nim. Obserwując, jak wydestaje się z małego samochodu, pomyślał, że to ironia losu, iż kobieta z takim wyglądem może być tak żałośnie głupia.

Nie, nie nazwałby jej milutką. Wyglądało na to, że nie ma w niej nic łagodnego, ale on miał słabość do długonogich, niebezpiecznych kobiet. Była wysoka. Wąskie chłopięce biodra oblepiały spłowiałe džinsy starte na szwach do białości i rozdarte na kolanie. Podkoszulek wciśnięty w džinsy był zwyczajny, z białej bawełny, a jej małe, nie skrepowane stanikiem piersi odznaczały się wyraźnie pod miękką tkaniną.

Wyciągnęła torbę z samochodu i przed Jackiem odsłonił się miły dla oka widok jędrnego damskiego tyłeczka. Uśmiechnął się szeroko do siebie i poklepał po sercu. Nic dziwnego, że jakiś kretyn zdradził z nią swoją żonę.

Miała buźkę tak kanciastą jak ciało. Choć delikatna, mlecznobiała cera harmonizowała z płomiennymi włosami, nie było w niej nic z niewinnego dziewczątka. Ostro zarysowany podbródek i wyraźne kości policzkowe tworzyły upartą, zmysłową twarz, którą dopełniały pełne, wrażliwe usta.

Nosiła ciemne, przylegające do twarzy okulary, ale z dokumentów wiedział, że ma zielone oczy. Ciekawe, czy przypominają mech czy szmaragdy.

Z olbrzymią torbą zarzuconą na jedno ramię i torbą ze sklepu spożywczego opartą o biodro ruszyła w stronę domu. Pozwolił sobie na jedno westchnienie na widok tego sprężystego, zamaszystego kroku.

Stanowczo lubił długonogie kobiety.

Wysiadł z samochodu i poszedł za nią. Uznał, że nie sprawi mu kłopotu. Najwyżej trochę podrapie i pogryzie. Nie wyglądała na kogoś, kto rozpuści się w błagalnych łzach.

Naprawdę nie lubił, kiedy do tego dochodziło.

Jego plan był prosty. Mógł dopaść ją na ulicy, ale nie znosił publicznych pokazów, jeśli sprawę można było załatwić inaczej. Postanowił, że wedrze się za nią do mieszkania, wyjaśni sytuację i dopiero wówczas ją zwinie.

Nie wyglądała na zaniepokojoną, skonstatował, wchodząc za nią do budynku. Czy naprawdę sądziła, że policja nie będzie jej szukać u krewnych i znajomych? W dodatku pojechała na zakupy własnym samochodem. Dziwne, że do tej pory jej nie złapano.

Jednak z drugiej strony gliny miały wystarczająco dużo roboty bez uganiania się za kobietą, która posprzeczała się z kochankiem.

Miał nadzieję, że jej kumpelki, do której należy mieszkanie, nie ma w domu. Obserwował okna blisko godzinę i nie zauważył, żeby coś się za nimi działo. Nie usłyszał żadnego dźwięku, kiedy przeszedł niedbale pod otwartymi oknami drugiego piętra ani kiedy wszedł do budynku, chcąc podsłuchać, co się dzieje za drzwiami.

Ale nigdy nie można być zbyt pewnym.

Kiedy minęła windę i skierowała się na schody, zrobił to samo. Nie odwróciła głowy, co sugerowało, że albo jest wyjątkowo pewna siebie, albo bez reszty pochłonięta własnymi myślami.

Pokonał dzielącą ich przestrzeń i błysnął zębami w uśmiechu.

– Może pomóc?

Zwróciła głowę w jego kierunku i popatrzyła badawczo przez ciemne szkła okularów. Po wargach nie przemknął nawet cień uśmiechu.

– Nie trzeba, poradzę sobie.

– Wierzę, ale i tak idę na górę. W odwiedziny do ciotki. Nie widziałem jej od... do licha... od dwóch lat. Właśnie dziś rano wpadłem do Waszyngtonu. Zapomniałem, jak tu bywa gorąco.

– To nie gorąco – powiedziała oschle. – To wilgoć.

Zaśmiał się cicho, słysząc w jej głosie niechęć i zniecierpliwienie.

– Tak, tak mówią. Dorastałem tutaj, ale ostatnie parę lat mieszkałem w Wisconsin... Zdążyłem zapomnieć... Proszę pozwolić sobie pomóc.

Kiedy przesunęła torbę, by wsunąć klucz do zamka w drzwiach, jednym gładkim ruchem próbował ją przechwycić. Równie gładko zablokowała ciężar ramieniem i pchnięciem otworzyła drzwi.

– Poradzę sobie – powtórzyła i zaczęła zamykać mu drzwi przed nosem.

Wśliznął się do środka jak wąż i chwycił mocno jej przedramię.

– Pani O'Leary...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo uderzyła go łokciem w podbródek. Zaklął, zamrugął i w samą porę uchylił się przed kopnięciem w krocze. Cios był jednak na tyle blisko celu, że Jack natychmiast zmienił taktykę.

Na wyjaśnienia przyjdzie czas.

Kiedy ją chwycił, odwróciła się w jego uścisku, przydeptała mu stopę tak, że zobaczył wszystkie gwiazdy. A potem uderzyła go na odlew pięścią w twarz.

Torba z zakupami poszybowała w powietrze, a dziewczyna waliła go raz za razem, oddychając przy tym szybko i rytmicznie. Początkowo blokował jej ciosy. Nie można powiedzieć, że było to łatwe. Najwidoczniej przeszła szkolenie w walce wręcz – nieistotny szczegół, o którym Ralph nie wspomniał.

Kiedy stanęła na ugiętych nogach, gotowa do ataku, zrobił to samo.

– Nie stawiaj się. – Nie uśmiechała mu się myśl, że będzie musiał jej przyłożyć... może w ten seksowny spiczasty podbródek? – I tak cię dopadnę, a nie chciałbym robić ci krzywdy.

W odpowiedzi błyskawicznie kopnęła go w żołądek. Wolałby podziwiać ten manewr z pewnej odległości, ale był zbyt zajęty zderzaniem się ze stołem.

Do diabła, naprawdę była niezła.

Oczekiwał, że rzuci się do drzwi, więc szybko zerwał się na równe nogi, by przeciąć jej drogę ucieczki. Tymczasem ona go tylko okrążyła, wciąż ukrywając oczy za ciemnymi okularami i wykrzywiając wargi.

– No, dalej – prowokowała. – Jeszcze nikomu, kto próbował obrobić mnie na moim terenie, nie udało się uciec.

– Nie jestem złodziejem. – Kopnął trzy jędrne, dojrzałe brzoskwinie, które wysypały się z torby. – Jestem łowcą nagród. Poluję na zbiegów, a ty jesteś aresztowana. – Podniósł dłoń, dając jej do zrozumienia, że ma pokojowe zamiary, po czym z nadzieją, że jej spojrzenie powędrowało w tamtym kierunku, ruszył szybko do przodu, zaczepił stopą o jej nogę i podciął ją tak, że wylądowała na podłodze.

Zwarł się z nią i może doceniłby długie czyste linie kobiecego ciała przyciśniętego do jego ciała, gdyby nie to, że teraz jej kolano trafiło lepiej niż za pierwszym razem. Zabrakło mu tchu, a ból, który tylko mężczyzna jest w stanie pojąć, rozchodził się falami po całym ciele. Mimo to nie puścił jej.

Miał teraz przewagę i ona zdawała sobie z tego sprawę. Na stojąco była szybka, jej pole manewru było niemal tak duże jak jego, a siły bardziej wyrównane. Ale w zapasach górował nad nią wagą i muskulaturą. Rozwścieczyło ją to na tyle, że uciekła się do nieczystych chwytów. Wbiła mu zęby w ramię i kiedy krzyknął z bólu, uśmiechnęła się z widoczną satysfakcją, a adrenalina wprost w niej buzowała.

Szczepieni z sobą potoczyli się po podłodze i zderzyli ze stolikiem do kawy. Wielka błękitna czarka

napełniona czekoladowymi pastylkami spadła na podłogę i rozleciała się na kawałki. Odłamek szkła wbił mu się w ramię. Znow zaklął. Dziewczyna zadała mu cios w głowę i drugi w nerki.

Właśnie zaczynała myśleć, że w końcu go pokona, kiedy błyskawicznie przewrócił ją na brzuch. Wylądowała na podłodze z głośnym plaśnięciem, a zanim zdołała zaczerpnąć tchu, przesunął jej ręce na plecy i usiadł na niej.

To, że gwałtownie dyszał, nie sprawiało jej wielkiej satysfakcji. I po raz pierwszy w życiu naprawdę się bała.

– Nie rozumiem, dlaczego, u diabła, postrzełaś tego faceta, skoro mogłaś go po prostu sprać na kwaśne jabłko – mruknął Jack.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni po kajdanki i zaklął ponownie, kiedy ich tam nie znalazł. Wypadły mu z kieszeni podczas walki. Nie zmienił więc pozycji i przeczekał chwilę, kiedy próbowała go z siebie zrzucić.

Z trudem zaczerpnął powietrza. Nie toczył takiej walki z kobietą od czasu polowania na Dużą Betsy. A było to dziewięćdziesiąt kilo samych mięśni.

– Słuchaj, w ten sposób narobisz sobie jeszcze więcej kłopotów. Dlaczego spokojnie się nie poddasz, zanim do reszty rozwalimy mieszkanie twojej przyjaciółki?

– Zgniatasz mnie, kretynie – wysyczała. – A poza tym to moje mieszkanie. Spróbuj mnie zgwałcić, to urwę ci ten twój powód do dumy i wcisnę do ręki. Załatwię cię tak, że gliny nie będą miały czego zeskrobywać z butów.

– Nie napastuję kobiet, kotku. To, że jakiś księgowy nie potrafił trzymać łap z dala od ciebie, nie oznacza, że i ja nie potrafię. A gliny nie interesują się mną. Chcą ciebie.

Wypuściła gwałtownie powietrze, próbowała zaczerpnąć tchu, ale Jack zgniatął jej płuca.

– Nie wiem, o czym, u diabła, mówisz?

Wyjął papiery z kieszeni i podsunął jej pod nos.

– Niejaka O'Leary, oskarżona o zranienie z zamiarem zabicia i tak dalej. Ralph naprawdę zawiódł się na tobie, kotku. To ufny gość i nie spodziewał się, że taka miła kobieta będzie próbowała zwać. W końcu wpłacił za ciebie dziesięć kawałków kaucji.

– To jakaś bzdura. – Wpatrywała się z niedowierzaniem w swoje nazwisko i jakiś adres na czymś, co wyglądało jak nakaz aresztowania. – Pomyliłeś mnie z kimś. Nikt nie wyznaczył za mnie kaucji. Nie zostałam aresztowana, a to jest moje mieszkanie. Kretyńscy gliniarze – mruknęła i znow spróbowała go z siebie zrzucić. – Zadzwoń do swojego sierżanta, czy gdzie tam chcesz. Wyjaśnij to. A jak już będzie po wszystkim, pozwę was do sądu.

– Niezłe przedstawienie. Jak sądzę, nigdy nie słyszałaś o niej jakim George'u MacDonaldzie?

– Nie, nie słyszałam.

– A więc to naprawdę nieuprzejmie z twojej strony, że go postrzełaś. – Popuścił na tyle, że szarpnął jej głowę do góry, a potem chwycił za nadgarstki. Zauważył, że zgubiła okulary, a jej oczy nie

przypominały ani mchu, ani szmaragdów, były zielone zielenią mrocznej rzeki. I pełne wściekłości. – Posłuchaj, siostrze, chcesz mieć romans ze swoim księgowym, nic mnie to nie obchodzi. Chcesz go zastrzelić, nie dbam o to. Ale jeśli zamierzasz zwać po uzyskaniu poręczenia, to mnie wkurzasz.

Teraz oddychała jej się nieco łatwiej, ale dłonie na jej nadgarstkach były niczym stalowe obręcze.

– Mój księgowy nazywa się Holly Bergman i nie mamy romansu. Nikogo nie zastrzeliłam i nie uciekam, bo nie wyznaczono za mnie żadnej kaucji. Chcę zobaczyć twoje dokumenty, bystrzaku.

Pomyślał, że stawianie żądań w jej sytuacji dowodzi sporej odwagi.

– Nazywam się Dakota, Jack Dakota. Jestem łowcą nagród.

Przyjrzała mu się kątem oka. Pomyślała, że wygląda jak bohater westernu. Zimny rewolwerowiec albo groźny hazardzista, albo...

– Łowca nagród. Cóż, nie ma tu nagrody, głupcze. – To nie był gwałt ani napad rabunkowy, uspokoiła się w duchu i odetchnęła z ulgą. Poczowała przyływ energii. – Ty sukinsynu. Wdarłeś się tu, podarłeś mi ubranie, zniszczyłeś zakupy warte dwadzieścia dolarów, a wszystko dlatego, że nie potrafisz iść właściwym tropem? Bądź pewien, że dobiórę się do ciebie. Kiedy z tobą skończę, nie będziesz w stanie napisać swego własnego imienia przez szablon. Nie będziesz... – Zaniemówiła, kiedy podsunął jej zdjęcie.

– Masz siostrę bliźniaczkę, O'Leary? Siostrę, która jeździ MG 68, ma na tabliczce SLAINTE i kochanka o nazwisku Bailey James?

– Bailey to kobieta – szepnęła, wpatrując się w swoją własną podobiznę.

Głowę zaprzątęły jej nowe zmartwienia. Czy w tym wszystkim chodziło o Bailey, o to, co Bailey jej przysłała? W jakie kłopoty wplątała się jej przyjaciółka?

– W dodatku to nie jej mieszkanie, tylko moje. Nie mam bliźniaczki. – Ponownie popatrzyła mu w oczy.

– Co się dzieje? Czy z Bailey wszystko w porządku? Gdzie jest Bailey?

Pod jego zaciśniętymi dłońmi puls jej przyspieszył. Znów próbowała się wyrwać, z nową, pełną nienawiści energią, która, jak się domyślał, wynikała ze strachu. I był absolutnie pewien, że nie boi się o siebie.

– Nie wiem nic o tym gościu, poza tym, że ten adres widnieje pod jego nazwiskiem w dokumentach.

Zaczynał jednak coś podejrzewać. I nie podobało mu się to. Już nie uważał, że O'Leary jest głupia jak but. Kobieta z odrobiną rozumu nie zostawiłaby za sobą tylu śladów, gdyby naprawdę zamierzała uciec.

Ralph, przypomniał sobie Jack, wpatrując się ze zmarszczonym czołem w twarz kobiety, był dziś rano wyjątkowo zdenerwowany. Dlaczego?

– Jeśli będziesz ze mną szczerą, możemy to szybko sprawdzić. Może to jakaś urzędnicza pomyłka – powiedział, ale nie wierzył, że tak istotnie jest. Naprawdę nie. Czuł to swoje swędzenie u nasady kręgosłupa. – Posłuchaj... – zaczął.

Drzwi mieszkania gwałtownie się otworzyły i do środka wpadł z rykiem istny olbrzym.

– Miałeś ją wyprowadzić – warknął, wymachując robiącym wrażenie magnum .357. – Za dużo gadasz.

On czeka.

Jack nie miał wiele czasu na decyzję, jak to rozegrać. Nie znał tego dużego gościa, ale znał ten typ. Same mięśnie i zero rozumu, wielka kulista głowa z małymi oczkami i atletyczne plecy. Pistolet był wielki jak armata, ale w dłoniach wielkości szynek sprawiał wrażenie zabawki.

– Przepraszam. – Lekko ścisnął nadgarstek O'Leary z nadzieją, że dziewczyna domyśli się, iż on w ten sposób chce dodać jej otuchy, i powstrzyma się od niepotrzebnych ruchów. – Zaistniały drobne kłopoty.

– To tylko kobieta. Miałeś po prostu wyprowadzić ją na zewnątrz.

– Tak, pracuję nad tym. – Jack uśmiechnął się przyjacielsko. – Ralph przysłał cię, żebyś mi pomógł?

– No już, wstawaj. Ruszaj się. Wychodzimy.

– Jasne. Nie ma problemu. Nie będziesz potrzebował broni. Mam ją pod kontrolą – zapewnił, ale pistolet z lufą wielką jak armata był wycelowany prosto w jego głowę.

– Ona nam wystarczy. – Kiedy olbrzym uśmiechnął się, obwisłe wargi odsłoniły wielkie zęby. – Już cię nie potrzebujemy.

– W porządku. Domyślam się, że chcesz wziąć papiery. – Jack, wstając, złapał puszkę z sosem pomidorowym i w braku czegoś lepszego cisnął nią w olbrzyma, trafiając go w nos. Coś chrupnęło. Jack pochylił się i rzucił do przodu jak taran. Przypominało to walenie głową o ceglana ścianę, a siła uderzenia odrzuciła ich obu na krzesło z drewnianym oparciem.

Broń wystrzeliła, wybijając w suficie dziurę wielkości pięści, po czym przeleciała przez pokój.

MJ pomyślała o ucieczce. Zanim zdołałaby się rozplątać, zdążyłaby dobiec do drzwi i uciec. Ale przypomniała sobie o Bailey i o tym, co ma w torbie. O kłopotach, w które się nieoczekiwanie wpakowała. A poza tym była zbyt wściekła, by uciekać.

Pobiegła po broń i upadła do tyłu, gdy Jack upadł na nią. Złagodziła jego upadek, więc szybko wstał, wyskoczył jak sprężyna w powietrze i obiema nogami kopnął olbrzyma w żołądek.

Niezła forma, oceniła MJ, gramoląc się na nogi. Złapała torbę, rozkręciła ją nad głową i uderzyła mocno w gładki, kulisty łeb.

Olbrzym padł na sofę, łamiąc sprężyny.

– Dewastujesz moje mieszkanie! – krzyknęła i uderzyła Jacka w bok, po prostu dlatego, że był pod ręką.

– Pozwij mnie do sądu.

Uchylił się przed ciosem pięści i zaatakował olbrzyma w podbrzusze. Ból przeniknął mu wszystkie kości, kiedy przeciwnik walnął nim o ścianę. Obrazy pospadały, szkło rozprysnęło się na podłodze. Przez mgłę zobaczył, że rudowłosa skoczyła naprzód i rzuciła się niczym rój os na atletyczne plecy mężczyzny. Kiedy ten odwrócił się z wściekłością i usiłował ją chwycić, zaczęła walić go pięściami po policzkach.

– Trzymaj go! – krzyknął Jack. – Do diabła, przytrzymaj go przez minutę!

Szukając czegoś odpowiedniego, chwycił to, co zostało z nogi od stołu, i ruszył do ataku. Powstrzymał pierwszy cios. Tych dwoje kręciło się jak szalony, dwugłowy smok. Gdyby teraz zaatakował, mógłby

rozpłatać dziewczynie głowę.

– Powiedziałem, przytrzymaj go!

– Chcesz, żebym wymalowała tarczę strzelniczą na jego twarzy, skoro przy tym jesteśmy? – Z płynącym z trzewi warknięciem zacisnęła ramiona na gardle mężczyzny, udami ścisnęła jak imadłem jego szeroki, potężny tors i krzyknęła: – Uderz go, na litość boską! Przestań się czaić i uderz go!

Jack uniósł nogę od stołu jak pałkarz z dwoma uderzeniami na koncie i zamachnął się z całej siły. Noga od stołu rozleciała się jak zapalka, krew trysnęła niczym woda z fontanny. Mężczyzna runął jak podcięta sekwoja. MJ miała akurat tyle czasu, by odskoczyć.

Upadła na czworaki, z trudem chwytając powietrze.

– Co tu się dzieje? Co tu, u diabła, się dzieje?

– Nie mamy teraz czasu zastanawiać się nad tym. – Wiedziony instynktem samozachowawczym, złapał ją za rękę i pomógł wstać. – Takie typy zazwyczaj miewają towarzystwo. Chodźmy.

– Jak to chodźmy? – W drodze do drzwi złapała torbę. – Dokąd?

– Byle dalej stąd. Jak odzyska przytomność, będzie w kiepskim nastroju, a jeśli ma przyjaciela, następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia.

– Szczęścia, dobre sobie – mruknęła ze złością, ale biegła wraz z nim, kierując się czystym instynktem, podobnie jak on. – Ty skurczybyku! Wdarłeś się do mojego mieszkania, rozkazujesz mi, rządysz się jak szara gęś, zrujnowałeś mi dom, a w dodatku przez ciebie omal mnie nie zastrzelono.

– Uratowałem twój tyłek.

– To ja uratowałam twój! – wrzasnęła, obrzucając go przekleństwami, gdy zbiegali z hałasem po schodach. – Jak tylko uda mi się złapać oddech, rozerwę cię na sztuki, kawałek po kawałku.

Przeskoczyli półpiętro i omal nie stratowali jednej z sąsiadek. Kobieta w ramnych pantoflach ozdobionych puszkami i z fryzurą w kształcie hełmu skuliła się, przyłgnęła plecami do ściany i przycisnęła dłonie do mocno uróżowanych policzków.

– MJ, co u licha...? Co znaczą te strzały?

– Pani Weathers...

– Nie mamy czasu. – Jack niemal uniósł MJ w powietrze i runął na następną kondygnację.

– Nie wrzeszcz na mnie, kretynie. Zapłacisz za każde zgniecione winogrono, za każdą lampę, każdą...

– Tak, tak, rozumiem. Gdzie jest wyjście ewakuacyjne?

MJ wskazała w głąb korytarza, Jack skinął głową i obydwoje wyślizgnęli się na zewnątrz, a potem za róg budynku.

Jack błyskawicznie zerknął zza osłony krzaków najpierw w górę, potem w dół ulicy. W odległości mniejszej niż pół parceli stała furgonetka bez okien, a koło niej kręcił się człowieczek o twarzy kurczęcia odziany w tandetny garnitur.

– Pochyl się – polecił Jack, zadowolony, że zaparkował oldsmobile'a przed frontem budynku. Kiedy przebiegli chodnik, prawie wrzucił MJ na przednie siedzenie samochodu.

– O Boże, co to, u diabła, jest? – Zrzuciła puszkę, na której usiadła, odkopała opakowania zaśmiecające podłogę i niespodziewanie znalazła się wśród nich, gdy Jack położył jej dłoń na karku i popchnął.

– Pochył się! – warknął i dodał gazu. Usłyszawszy słaby świst, domyślił się, że mężczyzna o twarzy kurczęcia posłużył się karabinem maszynowym z tłumikiem.

Samochód Jacka ruszył z piskiem opon z krawężnika, na dwóch kołach skręcił za róg i wystrzelił w dół ulicy niczym rakietą. Rzucana jak piłka pingpongowa, MJ walnęła głową w deskę rozdzielczą, zakłęła i próbowała złapać równowagę, podczas gdy on manewrował swoim krążownikiem po bocznych uliczkach.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz?!

– Znów ratuję twój tyłek, kotku. – Zerknął w lusterko wsteczne i gwałtownie skręcił w prawo. Para dzieciaków, jadąca chodnikiem na rowerach, uniosła ręce i pochwaliła ten manewr. Jack w odpowiedzi błysnął zębami w uśmiechu.

– Zwolnij tę górę śmieci. – MJ znów wczołgała się na siedzenie i dla utrzymania równowagi złapała się ręcznej dźwigni zmiany biegów. – I wypuść mnie stąd, zanim przejedziesz jakiegoś dzieciaka wyprowadzającego psa na spacer.

– Nie zamierzam nikogo przejeżdżać, a ty zostajesz. – Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. – Jeśli nie zauważyłaś, facet z furgonetki strzelał do nas. Jak tylko się upewnię, że go zgubiliśmy i znajdem jakieś spokojne miejsce, by się ukryć, powiesz mi, o co w tym wszystkim, u diabła, chodzi.

– Nie wiem.

Spojrzał na nią groźnie.

– Kłamiesz.

Ponieważ był tego pewny, zaryzykował. Znów podjechał do krawężnika, sięgnął pod siedzenie i wyjął zapasowe kajdanki. Zanim zdążyła mrugnąć, przykuł ją do klamki. Nie wypuści jej, dopóki się nie dowie, dlaczego rzucał nim stutrydziestokilogramowy goryl.

Żeby nie słyszeć jej wrzasków i coraz barwniejszych grózb i przekleństw, puścił stereo na pełny regulator.

Tytuł oryginału:
Captive Star

Pierwsze wydanie:
Silhouette Books, 1997

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordega

Korekta:
Joanna Rodziewicz-Cygan

© 1997 by Nora Roberts

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 1998, 2010

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-238-9939-6

Konwersja do postaci elektronicznej:
Legimi Sp. z o.o.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).